

Szekspir wreszcie zabrzmiał jak Szekspir

I jest to już jakieś osiągnięcie. Bo od dobrych kilku lat kaliski teatr nie rozpieszcza nas swoją wiernością wobec literackich pierwowzorów. By nie powiedzieć, że przyprawia im takie rogi, za sprawą których oryginalne teksty nie mieszczą się już w drzwiach gmachu przy pl. Bogusławskiego. Tym razem na szczęście stało się inaczej

ROBERT KORDES

■ Rzecz jasna, ani dyrekcja Teatru im. W. Bogusławskiego, ani angażowani przez nią reżyserzy sami nie wymyślili tego, że współcześnie do dobrego tonu będzie należało gwałcenie tekstów tych różnych Szekspirów, Ibsenów czy innych Gombrowiczów. Niestety, stało się to ogólnie obowiązującą modą. I nie chodzi tu tylko o to, że Baladynę albo innego Kirkora można przesadzić z konia czy drewnianego zydelka na motocykl. To działo się w teatrze już 40 lat temu. Mimo to ówczesni reżyserzy nadal szanowali autora i starali się uczciwie interpretować jego tekst.

Jego, a nie własny. Bo jeżeli ktoś uważa, że potrafi napisać lepszy tekst sceniczny, niż czynili to Strindberg czy Brecht, powinien to zrobić i nie podszywać się pod ich teksty. Jeżeli uważa, że Dostojewski jest nieaktualny, a jego utwory dawno już przestały odpowiadać na pytania współczesności, powinien pozostawić te teksty historykom literatury, a samemu zająć się dramaturgią współczesną. Własną lub cudzą.

Szczeniacy na szcudłach

Ale nie. Jacyś smarkacze od tanich grepsów, którzy



Foto: Bartek Warzecha

powoli opanowują polskie sceny, nie chcą – a co bardziej prawdopodobne, nie są już w stanie – rywalizować z reżyserami z pokolenia swoich rodziców. Nie wspominając o dziadkach. Mimo to z jakichś powodów potrzebują nazwisk i tekstów starych mistrzów. Wszystko wskazuje na to, że chcą użyć tych nazwisk i tekstów jako szcudła, które mogą ich wynieść do ich własnej wielkości.

Nic bardziej mylnego. Chyba że świat miałby się spisać do końca.

Najpierw trzeba coś przeżyć i to coś powinno zboleć. A dopiero potem można o tym pisać albo to reżyserować. I też nie od razu. Potrzebny jest pewien dystans.

Nic na to nie poradzimy i niewiele tu można oszukać. Tak jak nie można oszukać narodzin, miłości ani śmierci. Z miłością co prawda można próbować. Ale też nie radzę.

Reżyser nie musi gwałcić autora

Marta Streker, młoda reżyser najnowszej spektaklu

klu kaliskiego teatru, jest żywym dowodem na to, że artystyczna mądrość nie musi być niewolnicą swojego wieku biologicznego. Nikt mądry nie powiedział, że nie można zostać twórcą wartościowym (a historia zna przypadki, że wręcz wybitnym) w młodym wieku. Postanowiła zająć się „Tragedią Coriolanusa” Williama Szekspira. A nie „Tragedią Coriolanusa” według Williama Szekspira. Czy „Tragedią Coriolanusa” na motywach Williama Szekspira. Chciała uniknąć czezej paplaniny i zerowania na cudzych odpadkach. Wykazała tym niezbędne minimum pokory. Czy wykazała też minimum talentu?

Moim zdaniem tak. Był to co prawda jej debiut reżyserki, ale każdy gdzieś kiedyś musi mieć swój pierwszy raz. I dobrze, że stało się to w Kaliszu. Choć przyjechała do nas z Wrocławia, gdzie w Teatrze Polskim zdażyła już być drugim reżyserem Mickiewiczowskich „Dziadów”, głośnego przedstawienia w reżyserii Michała Zadary.

Inaczej mówiąc, miała się od kogo uczyć, jak wielu we Wrocławiu.

Żołnierz, a nie polityk

Przypomnijmy krótko, że „Coriolanus” Szekspira to przede wszystkim dramat władzy. Historyczny Caius Martius to postać z początkowego okresu dziejów państwa (bo jeszcze nie cesarstwa czy imperium) rzymskiego. Na polu bitwy okazał się świetnym wodzem i wojownikiem. Jednak gdy wojenna sława wyniosła go do bram wielkiej polityki, okazał się naiwny i bezradny jak dziecko. Szlachetny człowiek i dzielny żołnierz nie sprawdził się jako dworski intrygant i polityczny gracz. Stąd wzięła się jego tragedia. Opuszczony i zdradzony przez swoich ziomków, którym wbrew powszechnemu oczekiwaniu nie chciał się kłaniać, wściekły, poniżony i wypędzony przystał do przeciwników Rzymu. Zapłacił za to wysoką cenę moralną, bo musiał ukorzyć się przed wrogiem osobistym. Wspólnie z nim pokonał

Rzym, ale w konsekwencji skończył tragicznie. Zapłacił więc również cenę najwyższą.

Wszystkiego najlepszego, pani Marto!

Marta Streker oszczędziła nam tego śmiertelnego finału. Zamiast tego zaproponowała (być może był to pomysł dramaturga) rozwiązanie z ducha trochę postmodernistyczne.

I tak już powiedziałem zbyt wiele, zdradzając historyczne dzieje Coriolanusa. I dlatego nie opowiem, na czym to rozwiązanie polega. Trzeba natomiast wspomnieć, że w roli Caiusa Martiusa występuje Lech Wierzbowski, znany i lubiany aktor kaliskiego teatru, który w tym roku obchodzi jubileusz 30-lecia swojej obecności na kaliskiej scenie. W roli jego głównego adwersarza w kaliskiej „Tragedii Coriolanusa” występuje Michał Wierzbicki. Z natury rzeczy są to dwie role wiodące, ale kaliscy aktorzy robią, co mogą, również w rolach drugoplanowych. Przynajmniej

na wzmiankę zasługuje w tym kontekście debiut aktorski występującej gościnnie Teresy Kowalik. Odrobina pokory i samoograniczenia ze strony reżysera w jakiś sposób chyba udzieliła się pozostałym twórcom tego spektaklu, bowiem oszczędna, ale zarazem pomysłowa jest zarówno scenografia, jak i oprawa muzyczna. W pamięci pozostają zwłaszcza przesuwane w zależności od potrzeb segmenty schodów z pierwszej części widowiska.

Szekspir to trudny orzech do zgryzienia

Ale niech nikt nie spodziewa się, że jest to spektakl lekki, łatwy i przyjemny. Trudna i trochę nużąca w odbiorze – tym bardziej dla kogoś, kto nie zna historii Coriolanusa – jest zwłaszcza część pierwsza tego przedstawienia. Jest ona nie tylko dłuższa niż część druga, ale też o wiele bardziej statyczna. Zabrakło dynamiki i akcji, których pod dostatkiem ma część druga. Zarysowujący się konflikt chyba trochę za długo pozostaje mało czytelny. Potrzebne byłyby tu albo skróty i uproszczenia, albo inne zmiany służące większemu uprzyjęściwieniu percepcji widza tych fragmentów scenicznego przedsięwzięcia. Inaczej mówiąc, pokora powinna być także okazana nie tylko Szekspirovi, ale też współczesnej psychologii odbioru. I tu jest pole do popisu dla młodego twórcy czującego otaczającą go rzeczywistość.

To daje się zrobić i wierzę, że Marta Streker poradzi sobie z tym problemem. Jeśli nie w tym, to w następnym swoim spektaklu.

Zgodnie z modą obowiązującą w nowoczesnym polskim teatrze powinienem w tym miejscu napisać, że była to recenzja według...

Była to moja recenzja. Ze wszystkimi słabościami tego stanu rzeczy.